

Tata kupuje Zachód

■ Rozmawiał: Wojciech Orliński 2008-08-24, ostatnia aktualizacja 2008-08-20 13:39:35.0

Z Piotrem Balcerowiczem rozmawia Wojciech Orliński

Piotr Balcerowicz - profesor Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej oraz Wydziału Orientalistycznego UW, badacz historii indyjskiej filozofii i religii. Założyciel pozarządowego stowarzyszenia Edukacja dla Pokoju wspierającego inicjatywy edukacyjne m.in. w Afganistanie, Chinach i Tybecie

Jak się przygotować na indyjską inwazję?

A trzeba się jakoś przygotowywać? I czy należy mówić o inwazji? Zderzenia kultur są zwykle źródłem inspiracji, z której obie wychodzą wzbogacone. Gdyby sobie spróbować wyobrazić kulturę czysto polską, to widzimy szlachcica w żupanie i z krzywą szablą. Ale przecież ten strój i ta szabla pochodzą z inspiracji tureckich. Gdyby z polskiej kultury usunąć wpływy tureckie, znika cała tradycja sarmacka, bez której polska kultura jest nie do pomyślenia. Ale tak samo będzie nie do pomyślenia, jeśli usuniemy wpływy niemieckie czy żydowskie. Ostatnie nagrody Bookera i Pulitzera pokazują, że ani Anglicy, ani Amerykanie nie mają oporów przed przyznaniem, że najwybitniejszym pisarzem kultury anglojęzycznej jest Salman Rushdie. Przyszedł na świat w Bombaju, jego rodzina wywodzi się z dzisiejszego Pakistanu - ale jednocześnie jego książki to ważny element kultury zachodniej. To dobry przykład na to, że zamiast pytać, jak się uchronić przed inwazją, lepiej się zastanowić, jak inna kultura może wzbogacić np. europejską czy polską.

To czego powinniśmy się uczyć od Hindusów?

Jest krótka i prosta odpowiedź. Budowę metra w Delhi rozpoczęto dziesięć lat temu. Do dziś oddano trzy linie o łącznej długości 70 kilometrów, przez najbliższe dwa lata dojdzie sto kilkadziesiąt kilometrów. Warszawiakowi nie trzeba chyba więcej tłumaczyć.

Tego Indiom najbardziej zazdroszczę - tradycji sprawnej demokracji. Zachowują demokrację od roku 1947 właściwie nieprzerwanie. Tymczasem nasze doświadczenia demokratyczne to ledwie osiem lat Drugiej Rzeczypospolitej i 19 lat Trzeciej.

Przy tym trzeba pamiętać, że Indie zachowują demokratyczne mechanizmy w warunkach rzeczywistego zagrożenia wojną i terroryzmem. Mają dwóch niebezpiecznych sąsiadów - Chiny i Pakistan, z którymi parokrotnie już wchodziły w otwarte konflikty zbrojne.

A gdy nie mają konfliktów otwartych, jest pełzająca zimna wojna.

Tak jest - bo porozumień pokojowych nigdy nie podpisano. A mimo to nie ma cenzury, kwitnie wolność zgromadzeń, jest pełen dostęp do internetu, nie ma rażących przypadków łamania praw człowieka. Oczywiście - w miejscach bezpośredniego konfliktu, jak w Kaszmirze, te prawa są łamane. Ale poza tymi obszarami Indie wypadają znakomicie pod względem swobód obywatelskich, na przykład na tle Stanów Zjednoczonych. Te kontrole na lotniskach, kamery rejestrujące wszystko 'na wszelki wypadek' - przerażająca jest zgoda społeczeństw Zachodu na ciągle ograniczanie wolności. Społeczeństwa Indii nikt nie musi pouczać, czym jest terroryzm - kilkaset osób rocznie ginie w różnych zamachach, zwykle inspirowanych przez wrogiego sąsiada. A jednak poza stanem wyjątkowym wprowadzonym w 1975 roku przez Indirę Gandhi politycy w Indiach nigdy nie mówią, że trzeba rozszerzyć uprawnienia służb specjalnych, zacząć inwigilować społeczeństwo. Wolność traktuje się jako niezbędny element rozwoju.

Tutaj znowu ciekawe jest porównanie z Chinami - neoliberalni publicyści często mówią, że bez zawieszenia pewnych swobód, zwłaszcza związkowych, nie można osiągnąć dziewięcioprocentowego wzrostu gospodarczego.

Tymczasem Indie mają wzrost wprawdzie trochę niższy niż Chiny, ale też ponaddziewięcioprocentowy. W tym roku różnica między Indiami i Chinami w tempie wzrostu to różnica rzędu promila. Przedtem była oczywiście większa, ale polityk indyjski powie, że to nie ma znaczenia - bo co komu po wzroście gospodarczym, jeśli nie może z niego korzystać. Co komu po tym, że zamieni rower na samochód, jeśli za sprawą korków tym samochodem będzie dwie godziny pokonywać dystans, który rowerem pokonywał w kwadrans? Co komu po tym, że zamieni telewizor na nowszy model, jeśli nie będzie miał dostępu do nieocenzurowanej informacji?

Obawiam się, że już w następnym zdaniu dowiem się, że mam porzucić samochód i telewizor i zacząć się rozwijać duchowo, medytując nad miską ryżu.

Nie chodzi o wyrzeczenie się dóbr materialnych, tylko o pamiętanie o wartościach humanistycznych - edukacji, kulturze, prawie do protestu przeciw decyzjom rządzących. Jedną z barier wzrostu chińskiej gospodarki jest brak indywidualności, charyzmatycznych menedżerów. Swobody obywatelskie to też czynnik rozwoju. Swobodna gra idei,

wymiana myśli są niezbędne w kreowaniu przyszłości. Chińska gospodarka jest wciąż nastawiona na kopiowanie rozwiązań zachodnich, Hindusi sami wymyślają swoje wynalazki. Co więcej, chińska gospodarka jest całkowicie uzależniona od eksportu, bo mimo ogromnej populacji rynek wewnętrzny Chin jest wciąż bardzo słabo rozwinięty, tymczasem hinduskie firmy mogą się świetnie utrzymać ze sprzedaży towarów tylko indyjskim konsumentom.

Skąd się bierze to indyjskie przywiązanie do demokracji? W roku 1947 nie postawiłbym złamanego szeląga na trwałość tej republiki - spodziewałbym się, że to nie ma prawa przetrwać przy tej biedzie, tym analfabetyzmie. Tyle religii, że nawet specjaliści tego nie policzą, bo nie wiadomo, jak liczyć hinduizm...

...a no właśnie. Warto przy okazji podkreślić, że pojęcie 'hinduizm' to wymysł Zachodu. To wiele religii, które mają pewne podobieństwa. W Indiach jest ponadto około 200 języków i 800 dialektów, wiele grup etnicznych i jeszcze system kastowy, problem społeczny trapiący od początku demokratyczne Indie. Gdyby sobie wyobrazić takie państwo w XX-wiecznej Europie, to zapewne by się rozpadło. A na to się nie zanoszą. Tego państwa nigdy nie spajała myśl narodowa, tylko pewien zespół wspólnie wyznawanych idei i wartości, które określiłbym jako humanistyczne. To ważna nauka i dla Europy, i dla Chin. Państwo chińskie podporządkowane jest nacjonalizmowi dominującej grupy etnicznej, czyli ludności Han. W Chinach mniejszości się likwiduje. Tybetańczyków, Ujgurów czy Mongołów traktuje się jako element potencjalnie nielojalny. Tymczasem Indie traktują swoją różnorodność etniczną jako element kulturowego bogactwa. Oczywiście są konflikty, ale nie ma takiej dużej grupy, która uważałaby, że coś poprawi w swoim losie poprzez oderwanie się od państwa indyjskiego. Najpoważniejsze konflikty dotyczą dyskryminacji niedotykalnych oraz wyznawców islamu, ale nie jest tak, że te osoby czują się odrzucone przez państwo. Niedotykalni mogą liczyć na programy afirmatywne, a co do muzułmanów, to wystarczy spojrzeć na listę płac w pierwszym lepszym filmie bollywoodzkim. Shah Rukh Khan, największy gwiazdor Bollywood, nie jest bynajmniej wyznawcą hinduizmu! W Europie potrzebowaliśmy Unii Europejskiej, żebyśmy o odmiennościach etnicznych zaczęli myśleć jak o wartości - Indie z taką świadomością funkcjonowały od zawsze.

Mała dygresja: Ludwik Dorn powiedział, że Polska potrzebuje inteligencji technicznej, bo to inżynierowie będą budować autostrady. A przecież to nie brak inżynierów sprawia, że u nas to idzie tak wolno. Indie w ramach projektu "Złoty czworobok" wybudowały 5 tys. kilometrów autostrad w trudnym terenie nie dlatego, że mają lepszych inżynierów, tylko dlatego, że mają sprawniejsze instytucje publiczne.

Ba - i jakie to są autostrady! Indyjska infrastruktura drogowa to największa infrastruktura na świecie, nawet Chiny mają mniej dróg. W Indiach takie dalekosiężne projekty - reforma edukacji, budowa kanałów irygacyjnych - udają się właśnie dzięki temu, że mają dobrze rozwinięte społeczeństwo obywatelskie. Projekt poddawany jest szerokim konsultacjom społecznym. W Indiach też oczywiście znana jest plaga kadencyjności - nowa ekipa odkręca decyzje poprzedniej - ale to nieporównanie mniejszy problem niż u nas. Dobrym przykładem jest właśnie projekt 'Złotego czworoboku'. Wymyślił go w latach 80. rząd Rajiva Gandhiego. Kiedy do władzy doszła prawicowa opozycja, tak zwana BJP, Bharatiya Janata Party, kontynuowała ten projekt, bo nie uważała go za projekt służący konkurencyjnej partii, tylko całemu społeczeństwu.

Indie do dzisiaj mają w konstytucji zapis, że są krajem 'socjalistycznym'. To chyba jedyny kraj w dziejach, który mając taki zapis, zachował demokrację i pluralizm. A co to oznacza w praktyce?

To zależy od epoki. W czasach walki o niepodległość, w czasach Jawaharlala Nehru, to rzeczywiście był wyraz sympatii do idei, które znamy z bloku wschodniego. Myślę, że przywódcy Indii nie do końca rozumieli wszystkie zagrożenia z nimi związane, ale w końcu nie wszyscy zachodni politycy czy filozofowie je rozumieli. W Indiach panowała wtedy straszliwa nędza, za którą w znacznej mierze odpowiadał brytyjski kolonializm. Regularnie zdarzały się klęski głodu. Dopiero w latach 60. zapobieżono im dzięki tak zwanej zielonej rewolucji. Wprawdzie ostatnia klęska głodu miała miejsce na początku lat 70., ale stało się to za sprawą kryzysu paliwowego po wojnie Jom Kippur - żywności było dość, ale państwa nie było stać na przetransportowanie jej do głodujących regionów. Przez pierwsze ćwierć wieku niepodległych Indii problemem było zapewnienie wszystkim mieszkańcom przetrwania w sensie czysto biologicznym - i hasła socjalistyczne rozumiano wtedy tak, że państwo stawia sobie za obowiązek zbudowanie systemu powszechnego dostępu do wyżywienia, edukacji, opieki zdrowotnej. To się w dużym stopniu udało, więc dzisiaj to hasło rozumiane jest trochę inaczej - mniej więcej tak jak w europejskiej socjaldemokracji.

Wynika z tego zabawny paradoks - neoliberalowie, mówiąc o przyszłości kapitalizmu, wskazują na Chiny. Ich oponenci z sympatią patrzą na Indie. O przyszłości kapitalizmu rozstrzygnie rywalizacja kraju de nomine socjalistycznego z de nomine komunistycznym!

Jest w tym rzeczywiście pewna ironia! Nie należy zapominać, że chiński komunizm trudno już porównywać do jakiegokolwiek ustroju europejskiego - to oligarchia wykorzystująca rozbudowany aparat przymusu politycznego. W Indiach mamy wiele przykładów wielkich majątków stworzonych przez ludzi startujących od zera. Tam naprawdę wystarczy mieć dobry pomysł, żeby zrealizować karierę od pucybuta do milionera.

Ale jak pomyślę, jaką potęgą jest koncern Tata, do którego należy i Land Rover, i herbata Tetley, a do tego jest to piąty producent stali na świecie, zacznam się bać!

Jednocześnie firmy takie jak Tata fundują ogromne projekty społeczne i edukacyjne. Tradycja dzielenia się z potrzebującymi jest w indyjskim społeczeństwie bardzo silna. Spędziłem w Indiach sporo czasu, mieszkałem tam i studiowałem. Poznałem studentów, intelektualistów, przedsiębiorców. Praktycznie wszyscy byli zaangażowani w jakieś

programy humanitarne. Także wśród biznesmenów silna jest świadomość, że skoro im się powiodło w tym społeczeństwie, to są mu też coś winni. Odczuwają to także jako obowiązek religijny. Dlatego Tata czy Infosys nie są tam postrzegane jako coś groźnego i obcego. Hindus widzi w tych firmach przykład sukcesu odniesionego przez kogoś takiego jak on sam, kto w dodatku nie zamierza wszystkiego chciwie zagarnąć dla siebie.

A na ile sensowne byłoby porównywanie indyjskich megakorporacji do japońskich keiretsu czy koreańskich czeboli?

Nie ma tu w ogóle podobieństwa. Indyjskie firmy nie mają odpowiednika japońskiej zasady amae - pracodawca rozłącza nad pracownikiem rodzaj matczynej opieki, a pracownik pozostaje wierny firmie aż po emeryturę. To oczywiście daje poczucie bezpieczeństwa, ale osłabia motywację do rozwoju. W Indiach jest spora rotacja kadr, kiepski pracownik musi się liczyć ze zwolnieniem, a dobrego trzeba utrzymywać różnymi programami motywacyjnymi. Nie ma też porównania do koreańskich czeboli - koncerny w Indiach powstały w wyniku swobodnej gry rynkowej, bez rządowych nadań i przywilejów. Indiom raczej nie grozi odpowiednik kryzysu, który od dłuższego czasu trapi gospodarkę japońską, gdzie błędne decyzje wielkich korporacji można było latami tuszować z niespłacalnych kredytów - w Indiach źle działająca firma po prostu zbankrutuje.

Czasami gdy rozmawiam z Hindusem, zastanawiam się, czy nie obrazę jego uczuć związanych z samoidentyfikacją, nazywając go 'Hindusem'. Czy na przykład dla Sikha określenie 'Hindus' może być obraźliwe?

To dylemat, który da się sformułować tylko w języku polskim. Gdyby rozmowa z tym Sikhem toczyła się po polsku, to można by go urazić, nazywając go hindusem przez małe 'h' - bo w języku polskim to słowo czasem oznacza obywatela Indii, a czasem wyznawcę hinduizmu, a różnicę oddaje tylko duże 'H' i małe 'h'. Lepszą praktyką jest rozróżniać po polsku - Hindus i hinduista. Już po angielsku wygląda to inaczej. 'Indian' oznacza obywatela Republiki Indii, a 'Hindu' oznacza wyznawcę hinduizmu. To drugie określenie mogłoby już urazić uczucia Sikha, który na pewno jest 'Indian', ale już nie 'Hindu'. Hindusi nie mają żadnego problemu z oddzielaniem swojej tożsamości religijnej, etnicznej i państwowej - to raczej Polacy zbyt głęboko tkwią w paradygmacie 'Polaka katolika', żeby te niuanse zrozumieć.

Rozmawiał: Wojciech Orliński